

Bronisław Nadolski

Dookoła prac przekładowych w XVI wieku

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 43/1-2, 475-487

1952

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BRONISŁAW NADOLSKI

DOKOŁA PRAC PRZEKŁADOWYCH W XVI WIEKU

Wiek XVI, jak wiadomo, bogaty był w przekłady. Stanowią one większość ówczesnego naszego piśmiennictwa. Brak dotąd mimo to jakiegoś studium o przekładach, przeróbkach i adaptacjach. Romans polski tego czasu, kancjonały, katechizmy, psalterze, dzieła filozoficzne, parenetyczne, literatura naukowa — wszystko to przeważnie dzieła przekładowe. Wiek XVI — to „złoty wiek” przekładów *Pisma Świętego*. Godziło się już dawno napisać rzecz jakąś o ówczesnych przekładach, o ich rodzajach i typach, o teoriach, przekładowych, wykładanych po szkołach i akademiach, o najgłośniejszych tłumaczach, o wielkich przedsięwzięciach i planach prac przekładowych, podejmowanych przez obozy religijne i przez poszczególnych pisarzy. Nie podejmowano przedtem tych prac na tak wielką skalę, jak w XVI wieku, i nie osiągnięto tak niezwykłego dawniej ich poziomu. Nie przychodziło pisarzom aż do XVI wieku łamać się naraz na tylu polach z trudnościami języka. Nie spotykano się nigdy z tak zawziętą krytyką prac przekładowych, jak w XVI wieku. Wszystkie obozy religijne prowadziły formalną walkę o należyty przekład *Biblii*. Wypowiadano się na temat dosłownego i bardziej literackiego przekładu. Tłumaczyli się pisarze z tego, że się im „nieforemnie polszczyzna poplotła”, że im przyszło przydawać „nieco słów polskich niezwykajnych”, że czasem trzeba było jedno słowo łacińskie „trzemi języka naszego wyłożyć dla łatwiejszego wyrozumienia ludzi prostych”, że „nie wszystkoć w smak pójdzie”, że „sie polszczyzna podobać nie będzie”. Rozumieli tłumacze, że „na niektórych miejscach więcej sensowi, niżli słowom dogadzać trzeba”, że „choć się podczas zda, że się właśnie słowo które na polskie przeloży, jakoż czasem inaczej przelożyć się nie może, a przedsię tej energii, tej mocy, tej wdzięczności, tej własności nie ma, którą ma słowo łacińskie”. Zastanawiano się nad tym, czy można osiągnąć

doskonałość oryginału — i Orzechowski stwierdzał, że „żadnego na świecie języka między ludźmi nie masz, który by foremności swej przyrodzonej utracić nie miał w cudzym języku”.

Skarżyli się tłumacze na niedostatek mowy polskiej, przypominali, że także inne języki walczyły z trudnościami, że „przydawania słów potrzebuje wykład każdego języka”, że nie ma koniecznej potrzeby polszczyć obcych terminów, bo i doskonale inne języki tego nie robiły, nie robili tego uczeni obcy, łacinnicy wobec greckiego, „bo baczylesz język być niedostateczny i owszem dla tajemnych znaczości woleli one słowa przy swej własności zachować, niżli je nowo wymyślonym słowem byli mieli wyłożyć, które by było trudniejsze ku wyrozumieniu, niż ono swe własne”.

Tłumacze dzieł teologicznych i prawniczych usprawiedliwiali się najczęściej właśnie z tego, że się nie kusili o tworzenie nowych terminów, że się posługiwali terminologią obcą. Niechętnie sięgają do neologizmów, tłumacząc się zaraz, że takie słowa „za niewolą wynalezione”, że to się stało „za potrzebą, a nie z wszeteczności albo chucenia jakiego”. Najszczęśliwsi bywają tłumacze, gdy się nie muszą posługiwać osobliwymi wyrazami, gdy mogą o sobie powiedzieć: „Jam w tym przekładaniu swym słów żadnych nowych, zwłaszcza wydwnych nie wymyślał, bo wiem, że Polacy moi, zwłaszcza prostaczkowie w mieściech i miasteczkach wdzięcznie to ode mnie przyjmą, że prostym ludziom proste słowa, a prawie pospolicie używane podawam”.

Niektóre wypowiedzi na temat trudności przekładania budzą zastrzeżenia. Jeżeli Kromer tłumaczył się w r. 1553, że w dziele teologicznym będzie się musiał posługiwać pewnymi słowami greckimi i „polskimi niezwycajnymi”, to tę skargę w połowie wieku XVI można zrozumieć. Ale kiedy w dwadzieścia lat później, mimo wielkiego rozwoju polskiej literatury teologicznej, powie Malecki o polskim języku teologicznym, że ta mowa „prawie barzo mało albo nic nie jest *elegans*”, że się tylko „trochę wypolerowała i ozdobniejszą stała”, to choćby się oprzeć wypadło właśnie na Kromerowym *Mnichu*, powiedzieć trzeba, że ten właśnie język teologiczny wspaniale się wykształcił i wyrobił. Dało się zauważyć w pracy wielu tłumaczy rzeczy teologicznych, że nie usiłowali oni całkowicie i konsekwentnie tłumaczyć i polszczyć terminów teologicznych czy filozoficznych, przy czym stanowisko ich motywowała nie jakaś ostrożność, jak raczej zdrowe odczucie ducha języka polskiego. Ustawicznie jednakże usprawiedliwiali się z tego przed czytelnikiem polskim,

prosili go, by się nie obrażał za to, „że się tekst łaciński i słowa łacińskie zostawić musiały dotąd, aż kto taki będzie, co te słowa po polsku tej mocy, co i łacińskie, wynajdzie”. Tłumaczył się więc i Skarga w przekładzie *Rocznych dziejów Kościoła* Baroniusza, że „słowa polskie do tajemnic wiary katolickiej najdować się też zawždy nie mogły”, a „jeśli które się nowe wniosły, staranie było z dokładaniem się towarzyszków mędrszych... aby rozumieniu poprawnemu nie szkodziły”. Dlatego Ortolog w *Lamencie* zauważył, że „do objaśnienia terminów teologom przyzwoitym... siła się słów łacińskich zażywa”.

Te wypowiedzi o trudnościach prac przekładowych, o pewnej jeszcze niedoskonałości mowy polskiej warto by systematycznie zbierać, by ocenić ogrom trudu, jaki włożyli tłumacze w udoskonalenie mowy ojczystej w tym ważnym dla dziejów języka polskiego XVI wieku. Podczas zbierania materiałów do obrazu życia literackiego tego czasu spotykano się często z takimi wynurzeniami. Dlatego będzie rzeczą pożyteczną charakterystyczniejsze z nich zestawić tu chronologicznie.

1. Anonimowy tłumacz *Psalmu* 50 w przekładzie wiersza piętego (nad czym pracował w roku 1531) natknął się na taką trudność, że jej przezwyciężyć nie zdołał, wiersz opuścił i lojalnie czytelnika o tym uprzedził, mówiąc: „Ten wiersz barzo wielką pracę zadał wykładaczom, a wiele jest wykładów rozlicznych, ale coby się prawie stosował, nie łączno go naleźć; które wszystkie acz w łacińskim języku opisane, a wszakoż iż wielką trudność a niewyrozumienie czynią w polskiej mowie, która jest niedostateczna, opuściłem je”.

2. W r. 1543 pojawił się prócz tekstu łacińskiego *Turcyki* Orzechowskiego również jej przekład polski. Tłumacz, chyba nie sam Orzechowski, nie krył się z niedoskonałościami swojej roboty, przyznawał się otwarcie do tego, że nie osiągnął doskonałości oryginału, że przydawał pewne słowa, prosił autora „aby mi za złe nie miał, iżem drugdy które słowo przydał, bo tego potrzebuje wykład każdego języka”. I dodawał dalej: „Wszak tem wykładem jam pisma jego nie ubiegł i owszem — kto umie łacińskie, będzie raczej wolał jego *phrasim* czytać, bom ja w tem wykładzie ku onej spaniałości łacińskiej przyjsć nie mógł, a zwłaszcza za tym prędkim wykładaniem”. Wyniesiono przy tej sposobności w pochwałach zupełnie słusznie świetną łacinę Orzechowskiego. Powiedziano o niej, że jest „wspaniała i dworna”, „wysoka a trudna” i dlatego „nie rzkąc

ziemianin, ale dobrze ćwiczony bakałarz niedobrze wyrozumieć ją może”, bo „między szlachtą rzadko znaleźć, który by dobrze łaciński język rozumiał”. Tym właśnie uzasadniono potrzebę przekładu.

3. Przy przekładzie Szarffenbergerowego *Nowego Testamentu* z r. 1556 stwierdzono różne trudności takiej pracy przekładowej, a więc to, że „nasz język nie tak dostateczny jest”, że prace nad przekładem tego dzieła były zawsze szczególnie wielkie, nie tylko u nas, ale i gdzie indziej, bo tam „wiele słów żydowskich... i greckich jest, których żaden, acz wiele uczonych i świętych ludzi było, nie wazyli się wyklądać, bo baczyli język być niedostateczny i owszem dla tajemnych znaczości woleli one słowa przy swej własności zachować, niżliby je nowo wymyślonym słowem byli mieli wyłożyć, które by było trudniejsze ku wyrozumieniu, niż ono swe własne”. Tłumacz wyrzekał tu jeszcze na braki polszczyzny, na to, że „nasz język przeciwko inszym nie jest tak dostateczny, aby rzecz języków inszych snadnie się stosować, a właśnie by z nim brzmieć mogła”.

4. Tłumacz Lorichiuszowych *Ksiąg o wychowaniu i o ćwiczeniu każdego przelożonego* (1558), Stanisław Koszutski wynurzył się również na temat trudności pracy przekładowej, tak o tym mówiąc: „Przełożyłem, jakom na ten czas mógł, kształt języka polskiego ku łacińskiemu stosować rad uczynił, które proszę chociaby się w nim jako nieforemnie polszczyzna poplotła, jakoż zaprawdę trudno polską rzecz ku łacińskiej wieść”.

5. *Biblia* Leopolicy (1561), uchodząca za jedną ze słabszych rzeczy, zwłaszcza w porównaniu z podobnymi pracami pisarzy różnowerczych, zawiera również stwierdzenie pewnej trudności tłumaczeń. Powiedziano tu: „Trudna rzecz jest jeden język drugim językiem dostatecznie wyrznąć”. Próbowano zapewnić, że „z wielką się pilnością folgowało temu, aby i prawdziwie i snadnie tekst polski on tekst łaciński wyrzynał”. Stwierdzano tu, że nie dało się tłumaczyć ściśle, słowo w słowo, że trzeba było dodawać pewne słowa z kontekstów doktorów kościoła, to znowu ujmować je w nawiasy „dla wypełnienia i łatwiejszego pojęcia”.

6. O językowej stronie przekładu wypowiedział się w roku 1572 szerzej Szymon Budny, tłumacz *Starego Testamentu*. Był więc za tym, by — o ile możliwości — zachować nawet szyk wyrazów oryginalny, by tworzyć nowe wyrazy, unikać prowincjonalizmów, ustalić ortografię imion własnych hebrajskiego pochodzenia. Wypowiedzi jego są niezmiernie ciekawe. Wpływały one z jego kultury językowej

i z krytyki filologicznej, z jaką odniósł się do oceny przekładów biblijnych. Oceniając różne dotychczasowe przekłady *Pisma Świętego* miał za złe wielu tłumaczom nie dość ściśle trzymanie się tekstu, widoczną nieraz chęć rozszerzania tekstu. „Mało nie w każdym tę wadę baczę — pisał — że wiele słów, acz dla wyrozumienia zda się dobrze, przydawamy”. Murzynowskiemu zarzucał, że „po polsku grubo mówił i pisał”, jakkolwiek „był młodzieniec nie lada jako w języku greckim uczony”. Bardzo wielkie miał zastrzeżenia do przekładu Leopolitowej *Biblii*: „Wejrzy tylko w jego przekład, najdziesz się czemu śmiać albo radszej czego żałować. *Clibanus* u niego „stóg”, *publicanus* — „jawnogrzesznik”, *pharisaeus* — „licy-miernik”, *poenitentia* — „pokuta”, *oleum* — „olej”, *latro* — „łotr”, *presbiter* i *sacerdos* — jedno to u niego „kapłan”, *ecclesia* i *templum* (i to wedle niego jedno) — „kościół”, *scandalum* — „pogorszenie”, *murmur* — „rumrycht”, *haereticus* — „kacierz” (tj. „koń zuchwały”), *scribae* — „szkrybowie”, *adorare* i *laudare* (jedno to u niego) — „chwalić”. Ale kto to przeliczy jako on wiele ledajako a prawie mnichowskie przekłada!” Dziwował się Budny Leopolicie, że tych „szpetnych a prawie dziecinnych omyłek” nie dojrzał, żałował, że „naszy mili księża kolejaci wolą leda co na swoją wieczną hańbę na papier mazać, niż się czego dobrego od kacerczów (tak oni wierne zową) nauczyć”.

W sprawie koniecznego niekiedy tworzenia nowych wyrazów tak pisał w roku 1572: „Tu znajdziesz kilka słów nowych, od nas za niewolą wynalezionych, jako są: *ofiarnik* albo *ofiarownik*, *napłetek*, *całopalenie*. Co inszy *kapłanem* zową, to ja *ofiarnikiem*, to dlatego, bo gdy prostak słyzy o którym z onych świętych, jako o Samuelu albo o Zachariaszu, ano go kapłanem zową, tedy domnima, że to tacy kapłani byli, jakowi teraz kapłani rzymsey, gdyż są różniejszy, niż dzień z nocą”.

Bardzo ciekawa jest wypowiedź o unikaniu prowincjonalizmów i o nowej jakiejś wtedy dążności do posługiwania się mową ogólnopolską. „Co się tknie polszczyzny — są słowa jego — żebyś i o tym wiedział, iż naszy Polacy pospolicie onej krainy mowy w pisaniu używają, z której kto rodem. Lecz ja nie trzymałem się tego zwyczaju. Bo ponieważ się to nie jednej której krainie albo powiatowi, ale wszem przekładało, przeto też żadnymi własnościami mów nie brakowaliśmy. Znajdziesz tu słowa wielgopolskie, znajdziesz krakowskie, mazowieckie, podlaskie, sędomiarskie, a bez mała i ruskie”.

W dziejach tworzącego się naszego języka literackiego tej wypowiedzi nigdy zapomnieć nie będzie można.

Charakterystyczna jest dalej dążność Budnego do ustalenia pisowni imion własnych pochodzenia hebrajskiego. Oto jego zdanie: „Własne imiona mężów, białychgłów, miast i innych rzeczy radbym był tak kładł, jako się w księgach hywrejskich czytają, tj. miasto *Noego* — *Noacha*, miasto *Abrahama* — *Awrahama*, miasto *Mojżesza* — *Moszeha*, miasto *Jeruzalem* — *Jeruszalaim* etc... Lecz rozumiałem temu, iżby to prostakom przykro, niejedno dziwno było. A tak tego przestrzegalem, żeby oto te imiona znajome a znaczniejsze tak, jako zwyczaj niesie, były zachowane, zaś nie tak znajome tak są położone, jako je Żydowie tuteczni piszą i czytają, jako są: *Achaw*, *Chyżkijahu*, *Choryw*, *Checron*, *Caddok*, *Cyion*, miasto tego co pospolicie mówią i piszą: *Acheb*, *Ezechiasz*, *Horeb*, *Hezrom*, *Sadok*, *Sion*”. Dla zrozumienia tekstu Budny odmieniał te hebrajskie wyrazy.

Jeśli chodzi o sprawę literackiego czy nieliterackiego przekładu *Pisma Świętego*, to w tej sprawie wypowiedział się Budny całkiem jasno w dwa lata później, w r. 1574 przy nowej edycji *Nowego Testamentu*. Jak wiadomo, tłumacz niezadowolony był z pierwszej edycji z r. 1572 znajdując różne zmiany tekstu przez wydawców, na skutek czego nawet się wyrzekł tego przekładu. W nowej edycji tak mówił o jej stronie językowej: „Takem się barzo słów trzymał, acz mi to niektórzy z braciej za złe mają. Najdziesz tego w tym moim przekładzie nie mało, tj. żem niekiedy nie słowo słowem przekładał, wszakże tylko tam, gdzieby inaczej rzecz nasza nie cierpiała i to z takim obwarowaniem, że takie przekładanie tamże na kraju znaczę i zaraz właśnie przekładam, oprócz niektórych miejsc nieszkodliwych. Moje przedsięwzięcie nie to było ani jest, żebych się z gładką albo dworną polszczyzną miał w tak zacnych a boskich księgach popisować. Kto się w uprzedzonych słówkach więcej, niż w prawdziwym przekładzie kocha, ma one pierwsze sławne przekłady, niech je czyta. Tam podobno po myśli swej takie przysmaki najdzie. Jam się onego zawdy bał i bać się będę”.

7. Głos Hieronima Maleckiego, tłumacza Lutrowej *Postylli domowej* (Królewiec 1574), w sprawie lekceważącego odnoszenia się niektórych do prac przekładowych i odprawa takim „błaznom” — należy do najciekawszych w XVI wieku. „Niekórzy szczyrzy błaznowie najdują się, po trzecim niebie swoim rozumem trzpiatając, tak jako oni o sobie rozumieją, którzy to głupie i nierozumnie mówić

śmieją, żeby to barzo łatwia rzecz była księgi albo pisania niektóre z inszego języka w drugi przelożyć, śmieje to powiadając, iż gdyby kto jedno trochę gramatyki umiał, tedy by temu mógł dosyć uczynić. Ale ja to sobie za wielką i osobliwą pracę i wielki kunszt być trzymam, aby dobrze i prawie w polski język księgi były przelożone. Abowiem tam nie trochę, ale owszem dobrze trzeba gramatykę umieć. A jeszcze nie na tym dosyć jest, chociażby kto dobrze gramatykę umiał. Ale też potrzeba jest, aby i *res* rozumiał, w nich się ćwiczył i też przez niektóry czas i insze ludzie nauczał i w teologii się obierał i sprawy takowe wiedział, która rzecz w tym największa i najpotrzebniejsza jest. Tudzież też musi dobry *interpres*, który z niemieckiego języka przekładać chce, dobrze po niemiecku rozumieć i też nie tylko dobrym Polakiem być i *phrases* prawie i właśnie używać, ale też musi i czeski język umieć, a to dlatego, że polski i czeski język jednaż mowa jest okrom tego, iż każdy język z nich ma swoje osobliwe *dialectos seu proprietates*".

I dodaje Malecki: „Prawda jest, iż polska mowa jest dosyć *culta* i *elegans*, ale w teologii prawie barzo mało albo nic nie jest *elegans* okrom tego, iż w tych czasiech przez te lata *in rebus sacris* trochę się wypolerowała i ozdobniejsza stała". Te utyskiwania na niedoskonałość polskiego języka teologicznego są trochę zastanawiające, bo właśnie teologiczny język najbardziej się wykształcił tak, że żadna dziedzina innego języka naukowego nie mogła mu dorównać. Kromer (1553), jeden z mistrzów tego języka, ubolewa jeszcze, „iż sie nieco greckich słów a polskich niezwyczajnych i też filozofię wtaczało”, usprawiedliwiał się, że się to działo „za potrzebą”, nie „z wszeteczności albo chucenia jakiego”, doradzał nawet, komu by to było na rękę, omijać w czytaniu te terminy („Wszak komu się to nie podoba albo nie może, albo też nie chce temu wyrozumieć, może przeskoczyć”).

Obok Maleckiego, Kromera także i Wawrzyniec z Przasnysza, autor zasobnej książki o pokucie (Królewiec 1560) ubolewał nad niedoskonałością polskiego języka teologicznego, usprawiedliwiał się z „przyszerszego” pisania dla łatwiejszego zrozumienia go przez ludzi prostych, prosił „aby nikogo tesknością czytania nie ruszyło, bom to zaprawdę musiał uczynić dla niedostatku słów języka naszego, dla którego jedno słowo łacińskie musi i trzemi języka naszego wyłożyć”.

Owe ubolewania nad niedoskonałością języka w latach pięćdziesiątych (Kromer), sześćdziesiątych (Przasnyszanin), siedemdziesiątych

siątych (Malecki H.) towarzyszą wszystkim pracom przekładowym z dziedziny teologii. Nie zabraknie ich jeszcze i pod koniec tego stulecia.

8. Podobne trudności dawały się we znaki także tłumaczom dzieł prawniczych. Należałoby tu wspomnieć o wypowiedziach znanego z prac w tej dziedzinie Pawła Szczerbica. Z wypowiedzi jego z roku 1581 widzimy, że nie był on całkiem zadowolony z własnych tłumaczeń, że wiedział, iż na niektórych miejscach jego „przełożenie niewłasne”, że pewne miejsca wydają się „trudne i wątpliwe”, że tłumaczowi przyszło się zetknąć z „niedostatkiem języka polskiego, a osobliwie słów prawnych”. Zdawał sobie Szczerbic sprawę, że daje czytelnikowi rzecz nienajlepszą, że „nie wszystko w smak pójdzie, abowiem na niektórych ci się miejscach przełożenie niewłasne zdać podobno będzie, na drugich ci się polszczyzna podobać nie będzie, drugieć się też trudne i wątpliwe widzieć będą”. Mimo to widział Szczerbic również pewne osiągnięcia własne, te mianowicie, że nie wprowadzał nowotworów i jakichś eleganckich, osobliwych, dworskich wyrazów. „Jam w tym przekładaniu swem — pisał — słów żadnych nowych, zwłaszcza wydwnych nie wymyślał, bo wiem, że Polacy moi, zwłaszcza prostaczkowie w mieściech i w miasteczkach wdzięcznie to ode mnie przyjmą, że prostym ludziom proste słowa, a prawie pospolicie używane podawam”. Żałować należy, że dotąd nie badano tego, jak to konkretnie sam Szczerbic i inni prosto, pospolicie pisali dla tych „prostaków w mieściech i w miasteczkach”. Jest to tym ciekawsze, że chodzi tu o wielkie, zasobne dzieła z dziedziny prawa magdeburskiego. Było to zresztą nie tylko jego staranie w ostatnich dziesiątkach lat XVI stulecia, ale poprzednio, już w latach pięćdziesiątych, Bartłomieja Groickiego, który w podobny sposób wypowiadał się również w tej sprawie.

9. O niedoskonałości swej pracy przekładowej przekonany był w roku 1583 Antoni z Przemyśla, tłumacz dzieła mistycznego Ludwika z Grenady pt. *Różaniec*. Powątpiewał on w to, czy dał przekład w „wybornej” polszczyźnie, bo „się mnie — pisał — wielki niedostatek słów polskich trzyma, skąd się niepomału obawiam, iżby ta moja robota jako niesmaczna potrawa komu w przykrość nie weszła”. Mimo tych zastrzeżeń tłumacz był jakby pewny swej użyteczności, bo podzielał zdanie, że rzeczy treści religijnej należy sercem przyjmować. I dlatego pisał: „Wszakże nie wiem, choćbym też i nabyborniej albo, jako mówią, nawydwniej po polsku umiał,

jeślibym tego w tych książkach chciał używać, w których nie tak uszam, jak sercom nabożnym mam paszą przyrzekać". Otóż wbrew powyższemu zastrzeżeniu rzeczy z tej dziedziny w ostatnich dziesiątkach lat tego stulecia posługują się „nawyborniejszą i nawydworniejszą” polszczyzną i autorowie przywiązują do niej wielką wagę.

10. Z okazji wydania w roku 1593 *Nowego Testamentu* zabrał głos jego nowy tłumacz, Jakub Wujek, w sprawie zasad przekładania, polemizując niekiedy ze stanowiskiem niektórych tłumaczy różnowierznych. Zdaniem jego przekład powinien być w miarę możliwości dosłowny, by przekładać „słowo ze słowa, im nawięcej być mogło”, „na niektórych miejscach więcej sensowi niżli słowom dogadzać”, aby „czasem słowo jasniejsze miasto trudniejszego z oryginalnych języków greckiego albo żydowskiego było przełożone” i aby „czasem też kilka słów albo zupełna sentencja *ad sensum* tylko była wyrażona”. Dodano, że „folgując sensowi albo jasności rozumienia na miejscach niektórych uczyniły się *modorum et temporum mutationes*”, że „nie wszędy jest tenże porządek albo położenie słów w polskim, który jest w łacińskim, ale który nam Polakom jest jaśniejszy i zwyczajniejszy”. Był tłumacz za tym, by „stare słowa polskie zachować”, bo te „proste słowa katolickiej wiary prawdę, dawność i ceremonie jasnie pokazują”, by zatrzymywać „niektóre słowa wznowione”, aby „słowa żydowskie jedne były przełożone, a drugie zostawione”. Dano tu, jak widać, cały wykład sztuki przekładania z przytoczeniem licznych przykładów dla ilustracji tych czy innych zasad.

11. Uwagi Stanisława Gosławskiego, tłumacza Szymonowiczowego *Castus Joseph* (1597), dotyczą tej anormalności naszej literatury, wobec której i tłumacze nasi musieli kiedyś zająć stanowisko. Chodziło o to, że pisarze polscy tworzyli po łacinie, nie po polsku, że dzieła ich były niedostępne dla szerszego koła czytelników, że zachodziła potrzeba dokonywania przekładu. Nie było to nowością w ciągu całego stulecia. Ale dopiero pod koniec tego wieku pojawia się związana z tym wypowiedź, że jest to okoliczność niepożądana, dziwna i szkodliwa. Właśnie Gosławskiemu wydaje się nieprzystojne, że ludzie w Polsce mogą nie znać pisarza polskiego tylko dlatego, że pisze nie po polsku, lecz po łacinie. Wydało mu się, że jest to to samo, co „bywszy w Polsce polskich szat nie używać” lub „bywszy w Polsce po polsku nie umieć” czy „cudzoziemskie ubiory robić, a polskich zaniedbać”. Wypowiedział się

Gosławski nadto o niedostatkach naszej polszczyzny, która jakoby nie dorównywała w subtelności innym językom. „Insze języki — mówił — insze roboty mają coś nad nasze subtelnością, wydworknością, kształtem i trudno im we wszystkim porównać, przerównać nie pomyślaj. Nawet chceszli im co podobnego uczynić, tworząc słowa nowe, subtelne, rzecz wyrażające i własne, albo się napracujesz a próżno, albo choć czego dojdiesz, przedsię owo lepsze”. Ale zaraz potem, jakby sam sobie przeczył, bo przyznawał, że „ma łaciński, grecki swoją pochwałę, ma włoski, ma i polski swoją”, że „każdemu udzielona miarka pewna, na której zostać może”.

12. Jan Licyniusz Namysłowski, od r. 1585 nauczyciel szkoły w Iwiu na Litwie¹, okazuje się jednym z ciekawszych pisarzy, rzutkim i ruchliwym, pełnym najlepszych zamiarów i planów. Spotykał się często z „szafunkarzami”, co to chcieli pokazać, iż „to na nie z języka na język tłumaczyć”. Jemu samemu wydała się ta rzecz zupełnie inaczej. „Inszy — mówił — niech co chcą swojego blahego piszą, ja wolę cudzą rzecz dobrą przekładać”. A było co przekładać! „Siła jest w języku greckim, więcej w łacińskim rzeczy osobliwych i potrzebnych na świat wydanych, których nasze języki nie mają”. Widział u innych narodów bardzo liczne tłumaczenia. „Gratulowałem w sobie inszych nacyj ludziom uczonym, że z miłości przeciw swemu narodowi siła ksiąg na swoją rzecz tłumaczą. Bo dawszy pokój inszym krajom, Italii, Hiszpanii, Galii, tylko się bliskim sąsiadom naszym przypatrujemy, Niemcom, jako oni prace ani kosztu nie żałują dla spólnego pożytku i przekładając z języka na język i na świat wypuszczają ksiąg niemało. Mówi u nich po niemiecku *Josephus, historicus Iudaeus*, czytają w swojej mowie *Livium*, mają i inszych ksiąg barzo wiele *in omni paene facultate*”. Wydawało się Licyniuszowi, że i w Polsce można by tego rodzaju prace podjąć, bo ludzi uczonych tu nie brakło. „Frasowałem się też (acz próżno) na tutejszych krajów ludzie uczone, na które z łaski Bożej ani w Koronie Polskiej, ani w W. Ks. Litewskim głodu nie masz, że się do tego czasu ocknąć nie chcą, aby też swej patrii kwoli, ku pożytkowi i ozdobie cokolwiek takiego znacznego wydali i przelożyli”. Prace przekładowe, prace literackie uważał Namysłowski za czyn obywatelski, ojczyźnie z wdzięczności składany. „Kiedy by kto taką wdzięczność swej ojczyźnie chciał pokazać, nie mniej by od niej wdzięczności doznawał, gdyż widzimy, że takie rzeczy, które świeżo z ję-

¹ Zob. A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*. T. 2, s. 186—187.

zyka na tę polską rzecz przełożone bywają, jako są pożyteczne, tak bywają mile”. Roztaczając jakieś niezwykle na owe czasy projekty prac przekładowych, pisał: „Myśliłem tedy, nie tak na przekład samego siebie wystawiając, jako więcej inszych dobrze wyzywając, cokolwiek zacnego, pożytecznego, potrzebnego, jako to mianowicie całego Józefa, Liwiusza, Juliusza Cezara, historyki sławne, jeśliby z tyle czasu mieć mógł i zdałoby się też to może *propositum* inszym, a zdarzyłby Pan Bóg patrona jakiego, coby sumptu swego nie żałował, powoli przełożyć”.

Namysłowski sam tych wielkich prac, zdaje się, nie podjął, choć był przedsiębiorczy i brał się do różnych prac edytorskich. Lubił on, o czym pisze, „umysł inszemi sprawami poważnemi spracowany czytaniem i przekładem takich uczeiwych i prawdziwych historyków ochłodzić”. Dopiero Wargoeki Jędrzej poszedł za tym wezwaniem i wziął się do przekładania szeregu historyków, Justinusa, Cezara, Kurejusza. Sam Namysłowski przełożył w roku 1598 *Trzy drogi* Busbekiusza, skąd wzięto przytoczone wypowiedzi o przekładach.

13. Wypowiadał się o przekładach niejednokrotnie jeden z lepszych naszych tłumaczy na przelomie XVI i XVII wieku, Jan Januszowski. Był tego zdania, że nawet najszcześniejsze przekłady nie dorównują łacińskim oryginałom. „Choć się podczas zda — pisał — że się właśnie słowo które na polskie przełoży, jakoż czasem inaczej przełożyć się nie może, a przedsię tej energii, tej mocy, tej wdzięczności, tej własności nie ma, którą ma słowo łacińskie... A trafiają się i synonima, które w polskim tak wiele przemianków nie mają, jako w łacińskim, a potrzebne czasem bywają. Jedno prze niedostatek języka polskiego trudno tych przemianków mieć tak wiele. Otóż gwałt się podczas wykładowi czynić musi”.

O braku terminów polskich i płynących stąd trudnościach przekładania tak pisał: „Wykład każdy jest trudny, a w języku polskim tym trudniejszy z tej miary, że w słowa jest bardzo ubogi. Terminy zaś teologiczne abo choć i te, na których się filozofia wszytka, by na wózk, toczy, są tak trudne, że i w łacińskim języku wiele z greckiego brać musi”.

Pisze Januszowski z własnej praktyki o różnych trudnościach w przekładaniu: „Trafiają się słowa małe, które lepiej podczas po łacinie zostawić, niż je po polsku położyć. Np. w łacińskim *oratio* a *res* są sobie równe, w polskim zaś *rem* inaczej przełożyć nie może, jedno *rzecz*, *orationem* też *rzecz*, alie i *oratio* — *rzecz*, i *res* — *rzecz*.

Patrząc, jako daleko jedno od drugiego. I jeśliż ma tę różność w sobie, które mają łacińskie słowa, samym domysłem domyślamy się, co jako rozumieć, ale własnością samą bynajmniej. Nuż owe insze słowa: *suppositum*, *notio*, *operatio*, *relatio*, *ens*, *entitas*, *identitas*, *ideae*, *praedicamenta*, *proportio* itp. jako na polskie te właśnie przełożyć? A położyszli je też polskim jakim słowem, tedy przedsię nie będzie w sobie miało tej wdzięczności i tę wyraźność, jako w łacińskim. Takie *individuum* — „niedzielność” albo „szczegółność”, *operatio* — „dzielność” albo „sprawowanie”, *relatio* — „względność”, *identitas* — „jedność”, *reciprocatio* — „odwrot”. *causatum ad causam* — „od przyczyny do przyczyny”. Wobec takich trudności tłumacz pozostawia bez przekładu terminy łacińskie i prosi czytelnika o wyrozumiałość. „Jeśli by tedy czytelnik łaskawy na co takiego przypadł, niech się nie obraża, że się i tekst łaciński i słowa łacińskie zostawić musiały dotąd, aż kto taki będzie, co te słowa właśnie po polsku tej mocy, co i łacińskie, wynajdzie”.

Postępował z rzeczami trudnymi do przekładu jeszcze inaczej. Publikację Bessariona pt. *O pochodzeniu Ducha św.* przełożył, jak mógł najściślej, „słowo od słowa i tymże porządkiem, jako w łacińskim słowa kładzione były”, a ponadto wydał w dwu kolumnach obok siebie tekst łaciński i jego polski przekład, by czytelnik „jeśli by co w polskim baczyl takiego, czego by abo nie tak zrazu rozumiał, abo by mu się wykład słowa którego nie podobał, aby wejrzawszy w tekst łaciński tym łacniej zrozumieć i poprawić sobie mógł. Łacniej bowiem słowo, kilka poprawić, niż wszystkie księgę przekładać, taką zwłaszcza, która i w słowa i w rzecz samą jest bardzo głęboka”.

14. Już z przytoczonych fragmentów można byłoby wnioskować, że Januszowski, jako krakowski drukarz i wydawca, jako człowiek wykształcony i niezły filolog, mógł przykładać ręki do ustalenia tekstów i ich adiustacji. Zresztą z edycji Cerioli Furiusza *Rady Pańskiej* w przekładzie Jakuba Górskiego widać, jak wyglądała ta praktyka. Rzecz wyszła w roku 1597, sam przekład zaś gotów już był przed 22 laty. Podobno już w roku powstania (1575) był ten przekład nienadzwyczajny. Sam tłumacz mawiał o sobie, że „w polskim języku, choć w rodzonym, nie był tak udatnym, jako w łacińskim”, że przekładu dokonał z włoskiego na polskie „językiem, jakom mógł i umiał, płockim, mazowieckim”. Jeśli tedy w r. 1575 przekład ten nie był dość gładki, to o wiele więcej pozostawiał do życzenia pod sam koniec XVI wieku (rok 1597) i to osądzany przez Januszowskiego. Stwierdza on, że istotnie wydała mu się „pol-

szczyzna [przekładu] trochę nie wedle wieku", że trzeba ją było „trochę polerować”. Takie „polerowanie” było powszechną praktyką przy wydawaniu rzeczy dawniejszych, przy coraz to wznowianych edycjach.

Ale te najdawniejsze praktyki edytorskie, to już nie sprawa samych przekładów.